



CZERWONA ATLANTYDA

UPADEK KOMUNIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ

LUIGI GENINAZZI



HORYZONT

znak

LUIGI GENINAZZI

CZERWONA ATLANTYDA

UPADEK KOMUNIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ

PRZEKŁAD
AGNIESZKA GOŁĘBIOWSKA

HORYZONT.
znak

KRAKÓW 2014

Spis treści

Przedmowa Lecha Wałęsy 7

Wstęp 11

Miami, 1 grudnia 1988 roku 23

Część pierwsza LATA OSIEMDZIESIĄTE. HISTORIA NABIERA ROZPĘDU

Rozdział I
GDAŃSK 1980. NIEBIESKIE KOMBINEZONY
KONTRA CZERWONY REŻIM 29

Rozdział II
BIEDA I WALKA O GODNOŚĆ. ŻYCIE CODZIENNE
W KOMUNISTYCZNEJ POLSCE 55

Rozdział III
POLSKA 1981. WŁADZA WYPOWIADA NARODOWI WOJNĘ 72

Rozdział IV
POLSKA 1983. JEST PAPIEŻ, JEST WOLNOŚĆ 89

Rozdział V
POLSKA 1984. DUCHOWNI NA PIERWSZEJ LINII FRONTU 108

Rozdział VI
CZECHOSŁOWACJA 1986. ŚWIĘTY, KTÓRY NAMIESZAŁ 125

Rozdział VII	
NRD 1986. PONURZY KOMUNIŚCI NIEMIECCY	145

Rozdział VIII	
RUMUNIA 1987. CIEMNOŚĆ, GŁÓD I TERROR	163

Część druga
1989. ROK, W KTÓRYM HISTORIA
POGNAŁA NAPRZÓD

Rozdział I	
WARSZAWA. NOWI RYCERZE OKRĄGŁEGO STOŁU W POSZUKIWANIU ŚWIĘTEGO GRAALA DEMOKRACJI	183

Rozdział II	
POLSKA. EUTANAZJA USTROJU	202

Rozdział III	
BERLIN. ZBURZENIE CZERWONEJ BASTYLII	221

Rozdział IV	
PRAGA. AKSAMITNA REWOLUCJA PRZECIWKO STALOWEJ DYKTATURZE	240

Rozdział V	
RUMUNIA. SPISEK POD POZORAMI REWOLUCJI	259

Rozdział VI	
GORBACZOW. NIEUDANA PRÓBA OCALENIA KOMUNIZMU	279

Indeks nazwisk	299
----------------	-----

ROZDZIAŁ I

Gdańsk 1980 **Niebieskie kombinezony** **kontra czerwony reżim**

Stary tupolew szarpie i rżęzi, sunąc między napuchniętymi od deszczu chmurami, które gęstnieją nad Bałtykiem. Po chwili gwałtownym manewrem celuje w płytę niewielkiego lotniska w Gdańsku. Czuję ucisk w żołądku, nie tylko z powodu turbulencji. Mam wrażenie, że znalazłem się w oku cyklonu, w punkcie, w którym lotem błyskawicy może się rozpętać brzemienna w skutki tragedia. Po ponad czterdziestu latach, Gdańsk – miasto, w którym rozpoczęła się druga wojna światowa, wraca na pierwsze strony gazet na świecie, wywołując poruszenie w zachodnich ośrodkach władzy i rosnący niepokój w gabinetach komunistycznych prominentów w Warszawie i innych wschodnioeuropejskich stolicach. Łatwo sobie wyobrazić, jakie rozmiary osiąga panika wśród dygnitarzy na Kremlu. W stosunkowo

niewielkiej odległości od polsko-radzieckiej granicy wybuchają protesty. Stoczną Gdańską, oczko w głowie socjalistycznego kraju, okupują robotnicy i ogłaszają strajk bez kompromisów. Stawiają się władzy w bezpośrednim starciu. Tę próbę sił z niepokojem śledzą wszyscy Polacy, rozdarci między nadzieją na jakąkolwiek zmianę a obawą, że wszystko skończy się rozlewem krwi, jak dziesięć lat wcześniej, kiedy milicja ostrzelała stoczniovców, powodując śmierć kilkudziesięciu osób. Wokół Gdańska natychmiast ustawia się „kordon sanitarny”, który ma nie dopuścić do rozprzestrzeniania się wirusa buntu. Nigdzie nie można się dodzwonić. Dotrzeć na miejsce też pewnie będzie niezmiernie trudno. Turyści pragnący zwiedzić dawne hanzeatyczne miasto są przezornie kierowani w bezpieczniejsze miejsca. W warszawskim biurze LOT-u pytam o samoloty do Gdańska, napotykam nieufne spojrzenia i wykrętne odpowiedzi. Wyrwać bilet udaje mi się dopiero kiedy mówię, że muszę koniecznie dostać się na Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. „Tylko proszę uważać”, ostrzega mnie półgłosem pracownica linii. „Ale dlaczego?”, pytam z udawaną naiwnością. „Są pewne problemy z komunikacją miejską”.

To okazuje się prawdą. W Gdańsku taksówkarz wita mnie frazą „nie ma benzyny”, ale kilka dolarów sprawia, że w cudowny sposób paliwo pojawia się w baku. Na ulicach ruch jest ograniczony, zakłady pracy pozamykane, a przed sklepami spożywczymi tworzą się długie kolejki. Na twarzach ludzi dostrzegam pewne napięcie, ale też jakąś niesamowitą dumę z powodu dziejących się wydarzeń. Przed dworcem kolejowym, którego neogotycki gmach na pierwszy rzut oka można pomylić z kościołem, widzę obłożony kiosk z gazetami. W przeciwieństwie do tego, co (nie) piszą źródła (dez)informacji w pozostałej części kraju, tu, w Gdańsku,

informacje o strajku – choć ostrożne i lakoniczne – podaje „Głos Wybrzeża”. Sytuacja w mieście jest dość spokojna i, o dziwo, nie widać chwiejących się pijacków z butelką wódki w ręku, którzy zazwyczaj są nieodłącznym elementem smętnego pejzażu Polski. Władze województwa gdańskiego wprowadziły zakaz sprzedaży napojów alkoholowych, aby zapobiec incydentom i prowokacjom. To pewnie dlatego miasto jawi mi się jako swoista „wolna republika bałtycka”, strefa swobodnego przepływu w rozległym imperium czerwonej dyktatury.

Ucisk, który czułem w klatce piersiowej, nagle znika. Z dworca udaję się spacerem do Stoczni Gdańskiej, pokonując bez żadnych problemów kilkaset metrów. Cała strefa stoczniowa jest obstawiona przez milicję, która patroluje bramy i przeszukuje samochody. Piesi nie podlegają żadnej kontroli. Byłoby to zresztą niemożliwe. Do późnych godzin nocnych ciągle wchodzi tu i wychodzą jacyś ludzie. Przed bramą numer 2, która do historii przeszła jako jeden z symboli polskiego przewrotu, gromadzi się olbrzymi tłum. Na wiszącej nad wejściem tablicy z napisem „Stocznia im. Lenina” nazwisko założyciela Związku Radzieckiego zdobi krzyż, nakreślony ręką jakiegoś burzyciela. Zniknęły czerwone flagi. Na szczycie bramy widnieją teraz białe-czerwone barwy narodowe i białe-żółte watykańskie. Z ukwieconego ogrodzenia wyrastają portret Jana Pawła II i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Wydaje mi się, że jestem świadkiem nie tyle demonstracji, ile niesamowitego widowiska. Przez głośniki nadawane są komunikaty komitetu strajkowego. Tłum przyjmuje je aplauzem, zagrzewa robotników, przyłącza się do nich tworząc potężny chór. Słowo „strajk” przechodzi z ust do ust. Wymawia się je tak, jak po angielsku. Wkrótce świat miał nauczyć się pisać je również po polsku.

Wszystko zaczęło się rankiem 14 sierpnia, kiedy robotnicy z pierwszej zmiany pod zegarem zamocowanym nad wejściem do stoczni zauważyli niewielki plakat postulujący przywrócenie do pracy suwnicowej Anny Walentynowicz, lat pięćdziesiąt, z których trzydzieści spędziła w stoczni, a następnie została zwolniona z powodów politycznych. Ktoś dopytuje o szczegóły, zebrani zastanawiają się, co robić.

Podszedłem do nich mówiąc: idziemy na K-3 W-4 stoi¹. Mówiłem tak na wyrost, bo jeszcze o niczym nie wiedziałem. Chciałem ich tylko pociągnąć za sobą. Wreszcie zdecydowali się. „No to idziemy”. Gdy jednak zatrzymywali maszyny robili to bardzo opieszale, w końcu jednak chęć wyjścia na plac przeważała. Doszliśmy do K-3 widzimy, że zgromadziła się tam już grupka ludzi. To nas bardzo podbudowało (...). Podeszliśmy pod barmę [i.e. bramę] gdzie uczciliśmy minutą ciszy poległych w 1970 roku a potem odśpiewaliśmy hymn narodowy (...). Następnie skierowaliśmy się w stronę koparki. Weszliśmy na koparkę, którą zaraz otoczył tłum ludzi. Wygłosiliśmy przemówienie: Musimy wybrać komitet strajkowy. Potrzebni są nam zaufani ludzie, którzy mają autorytet w brygadach. Niech się zgłaszają. Wtedy zjawił się dyrektor ze swoją świtą, ponieważ stał nisko, poprosiliśmy go na koparkę i pomogliśmy mu się wdrapać. Gdy dyrektor zaczął przemawiać zjawił się nagle Leszek Wałęsa. Dyrektor nie widział go, ponieważ wszedł na koparkę od tyłu. Leszek podszedł do dyrektora i groźnym głosem zapytał: poznaje mnie pan? 10 lat pracowałem na Stoczni i czuję się nadal stoczniowcem, ponieważ mam mandat zaufania załogi. Już 4 lata jestem bez

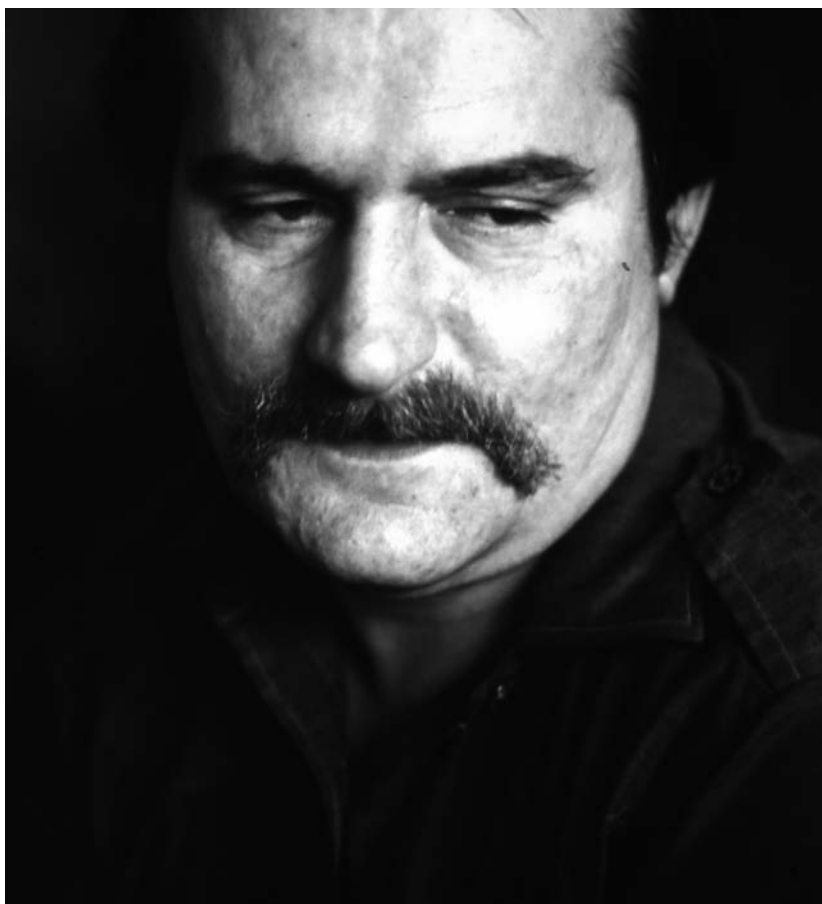
¹ Zachowano ortografię i interpunkcję oryginału (przyp. tłum.).

pracy. A potem powiedział: zakładamy strajk okupacyjny i na te słowo ze wszystkich [stron] rozległo się hurra. Potem zażyczyliśmy sobie aby samochodem dyrektora przywieźć do Stoczni p. Walentynowicz. Dyrektor protestował, ale postanowiliśmy [i.e. postawiliśmy] na swoim i po chwili samochód dyrektorski pojechał po p. Annę. My zaś przeszliśmy do radiowęzła. Tak rozpoczął się strajk².

Siły połączyło szesnaście tysięcy robotników. Przystąpili do okupacji największych polskich stoczn. „Chciałbym porozmawiać z waszym przywódcą”, mówię do dwóch robotników, którzy pilnują wejścia. Na kawałku papieru nabazgrali mi zgodę i zaprowadzili do stołówki przekształconej w główną kwaterę komitetu strajkowego. Ujrzałem niewysokiego człowieka z sumiastymi wąsami i żywym spojrzeniem, wyrażającym brawurę i zapał. „Jak on się nazywa?”. Lech Wałęsa. Kilka razy poprosiłem o powtórzenie. Musiało minąć trochę czasu, zanim nauczyłem się prawidłowo wymawiać to nazwisko. W prasie bardzo często pisano je z błędem, a w radiu i telewizji nagminnie przekręcano.

Z Wałęsą Polacy w naturalny sposób się utożsamiali. Był synem Polski rolniczej, która po drugiej wojnie pod przymusem została przekształcona w robotniczą. Urodził się w małej wsi w 1943 roku. Z dzieciństwa pamiętał mroki stalinizmu i gomułkowską odwilż. W 1967 roku zatrudnił się na stanowisku elektryka w gdańskiej Stoczni im. Lenina i tam dał się poznać jako charyzmatyczny buntownik. Wziął udział w strajku w 1970 roku i od tej pory jego życie to seria aresztowań, zatrzymań i przesłuchań.

² Relacja jednego z robotników opublikowana w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym” nr 11 z 30 sierpnia 1980.



Lech Wałęsa, przywódca NSZZ Solidarność

Jako działacz opozycji nawiązał kontakt z członkami KOR-u, Komitetu Obrony Robotników, założonego w 1976 roku między innymi przez grupę dezertarów z PZPR-u, niedługo po strajkach robotników w Ursusie i Radomiu. W tym samym roku Wałęsa został wyrzucony ze stoczni z powodów politycznych. To nie był człowiek od drobnych akcji. Marzył o rzeczach wielkich,

o utworzeniu potężnej organizacji zrzeszającej wszystkich robotników. Będąc bezrobotnym, by utrzymać wielodzietną rodzinę, brał prace dorywcze i korzystał z pomocy przyjaciół. W 1978 roku, współdziałając z robotnikami i gronem intelektualistów, założył Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. Była to jego *idée fixe*: powołać do życia niezależną organizację związkową. Strajk w sierpniu 1980 roku go nie zaskoczył. Przeciwnie, od dawna wyczekiwał takiej okazji. Był zdesperowany. Kilka dni wcześniej po raz kolejny wyładował w celi. Jego żona, Danuta, w ciąży z szóstym dzieckiem (córką), zaczynała już rodzić, ale milicjanci nie chcieli negocjować. Kiedy Wałęsa wrócił do domu po czterdziestoośmiodzinnym zatrzymaniu, córka już była na świecie. Co przeżywał rankiem 14 sierpnia, sam mi powiedział: „Czułem, że jestem na zakręcie i nie zawaham się przed niczym. Chciałem to zrobić dla moich dzieci, najbardziej dla Anny, która dopiero się urodziła. Kiedy przyszedłem pod bramę stoczni, już był tłum, a strażnicy skrupulatnie sprawdzali przepustki robotników. Wcisnąłem się w boczną uliczkę i przeskoczyłem przez ogrodzenie. Był to najlepszy skok w moim życiu”. Wałęsa umiał rozmawiać z robotnikami, bo był jednym z nich. Koledzy z pracy darzyli go bezgranicznym zaufaniem. Dlatego wybrali go na przewodniczącego komitetu strajkowego, który niezwłocznie przedstawił swoje żądania dyrekcji: przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, członków wolnego związku zawodowego, postawienie pomnika robotnikom, którzy oddali życie w grudniu 1970 roku, i podwyższenie płac o dwa tysiące złotych miesięcznie.

Od końca wiosny w zakładach przemysłowych wielu polskich miast organizowano spontaniczne protesty z żądaniem zwiększenia wynagrodzeń. Iskra strajkowa zapłonęła 1 lipca, po tym jak rząd wydał decyzję o podniesieniu detalicznych cen mięsa

o 40–80%, w zależności od towaru. W swej hipokryzji reżim nie objął podwyżką mięsa z zakładów państwowych, gdzie nadal obowiązywały ulgi. Faktycznie mięso było niedostępne, choć dwa lata wcześniej utworzono tak zwane mięsne sklepy komercyjne. Był to perfidny sposób władz na powrót do cen rynkowych. Decyzja dotyczyła też stołówek zakładowych, gdzie ceny również miały zostać zrównane z cenami w sklepach komercyjnych. Jako jedni z pierwszych zareagowali pracownicy podwarszawskiej fabryki traktorów Ursus. Protest wybuchł w czasie przerwy obiadowej i pod wpływem chwili robotnicy ogłosili strajk. W ciągu kilku następnych dni ich śladem poszło wiele innych fabryk w Warszawie, Radomiu, Poznaniu i Lublinie. Władze w popłochu reagowały sprzecznymi decyzjami: w jednych zakładach podwyżki cen wstrzymano, po czym wprowadzono mniejsze, w innych natychmiast zezwolono na wyrównanie płac, wywołując reakcję łańcuchową. Bunt rozprzestrzeniał się w całym kraju jak plama oleju na wodzie. Ostentacyjnie ignorowany przez radio i telewizję, znajdował uwagę prasy lokalnej, choć na jej łamach nie mówiono o strajkach, lecz eufemistycznie – o „przerwach w pracy”.

Strajki robotników w komunistycznej Polsce nie były oczywiście niczym nowym. W czerwcu 1956 roku w Poznaniu robotnicy wyszli na ulicę, wołając: „My głodujemy – my chcemy chleba!”. Władza wykonała antystalinowski zwrot. Na czele państwa stanął Władysław Gomułka i złożył narodowi obietnicę reform. Jednak w 1970 roku wydał rozkaz strzelania do pracowników Stoczni Gdańskiej, którzy wystąpili przeciwko podwyżkom cen. Zginęło wówczas ponad czterdzieści osób. Gomułka będący w podeszłym już wieku został odsunięty od władzy, a jego miejsce zajął Edward Gierek – komunista o reputacji technokraty, posługujący się nośnym sloganem „Budujemy drugą Polskę”. Zamiast wezwań do



Lech Wałęsa z autorem w listopadzie 1980 r. w Gdańsku

poświęceń i absolutystycznych zakusów konserwatywnego Gomułki, pojawiło się entuzjastyczne hasło „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”, a wraz z nim otwarcie na Zachód i radosna ekonomia postępującego zadłużenia w bankach państw kapitalistycznych, które umożliwiała sfinansowanie szeroko zakrojonych inwestycji w przemysł. Rosły zarobki, a w konsekwencji i potrzeby. Tworzono nowe, gigantyczne zakłady produkcyjne. To wszystko jednak nie ograniczało niedostatku, a wręcz przeciwnie: nasilała się bieda, marnotrawstwo i chaos biurokratyczny, tak typowe dla socjalistycznej gospodarki planowej. Sztucznie pompowana industrializacja – skutek nieudolności kadry administracyjnej w kierowaniu skomplikowaną machiną produkcyjną i niskiej produktywności młodej, wywodzącej się ze wsi klasy

pracującej – zawaliła się pod własnym ciężarem. W rezultacie doszło do deficytu produkcji zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Skutki były katastrofalne: na rynku wewnętrznym tylko pogłębił się i tak już chroniczny brak dóbr konsumpcyjnych, na rynku zewnętrznym zaś doszło do zahamowania eksportu, ponieważ polskie wyroby nie były konkurencyjne. Technokratyczne marzenie Gierka, który miał ambicję wprowadzenia polskiej gospodarki na wyżyny, zatoneło w oceanie długów (dwadzieścia miliardów dolarów), inflacja sięgnęła 10%, a produkt krajowy brutto spadł o 2%. Po złożeniu obietnicy łatwego wzbogacenia, komunistyczny rząd musiał więc podnieść ceny i obniżyć i tak już niską stopę życiową Polaków.

Na katastrofę gospodarczą nałożył się moralny upadek ustroju, bo w oczach obywateli stracił on wszelką wiarygodność. Życie codzienne było coraz bardziej przygnębiające, pogłębiały się różnice społeczne i panoszyła się korupcja. Jako styl bycia zatriumfowało zakłamanie sprzęgnięte ze skostniałą ideologią komunistyczną. Co mogło posłużyć za panaceum? „Trzeba otwarcie powiedzieć całą prawdę o tragicznej sytuacji, w której znalazł się nasz kraj. Tylko pod tym warunkiem może odbyć się dialog między władzą i społeczeństwem” – głosił komunikat opublikowany wiosną 1980 roku przez grupę intelektualistów, wśród których znaleźli się wybrani członkowie partii komunistycznej oraz przedstawiciele organizacji „Doświadczenie i Przyszłość”.

Tak więc rozległy się pierwsze sygnały alarmowe, a w powietrzu zawisła groźba wybuchu strajku. Pod koniec lipca protesty trwały już w ponad stu zakładach produkcyjnych. Elity rządzące robiły wszystko, by sprostać żądaniom strajkujących i 11 sierpnia sekretarz KC do spraw propagandy, Jerzy Łukaszewicz, bez zająknięcia zapowiedział, że wielka fala manifestacji niebawem opadnie

(krótkowzroczność typowa dla urzędnika). Trzy dni później miał wybuchnąć jeden z największych strajków w dziejach najnowszej historii Polski. Tym razem podniosły się stoczniowe „wyższe sfery” – ludzie, którzy mogli liczyć na pensje dwu-, a nawet trzykrotnie wyższe od średniej krajowej. Sprawy zdawały się toczyć ciągle według tego samego scenariusza: dyrekcja Stoczni im. Lenina przyznała podwyżkę wynagrodzeń o tysiąc pięćset złotych i zobowiązała się do ponownego zatrudnienia osób wyrzuconych z pracy z powodów politycznych. Lech Wałęsa ogłosił koniec strajku. Był 16 sierpnia, sobota wieczorem. Wielu robotników, zadowolonych z takiego obrotu sprawy, opuściło teren stoczni. Ale znaleźli się też malkontenci. Padaly mocne słowa, Wałęsę oskarżano o zdradę. „A czy ktoś pomyślał o nas?”. Ten pełen wyrzutów głos dobiegał z pobliskiej Stoczni Remontowej. Zaprotestował też przedstawiciel kierowców komunikacji miejskiej, mówiąc, że jego grupa zawodowa nie dostała złamanego grosza. Robotnicy wołali: „Solidarność!”. Po raz pierwszy zabrzmiało słowo, które miało zmienić bieg historii w Polsce i na całym świecie. Lech Wałęsa musiał ponownie rozważyć sprawę, i w końcu oznajmił: „Strajk trwa dalej”, wywołując tymi słowami burzliwą owację. Pracownicy różnych zakładów w regionie zawiązali sojusz. Chleb, który dostali strajkujący w Stoczni Gdańskiej, podzielono między robotników z innych fabryk. Ten symboliczny gest odwoływał się do wspólnej im wszystkim chrześcijańskiej wiary. Dzień później, 17 sierpnia, Wałęsa przyniósł wielki drewniany krzyż, który postawił przed stoczniową bramą. Jeżeli walka miała być ich drogą krzyżową, to zakończy się zmartwychwstaniem. Rodziła się nowa świadomość, wyznaczająca radykalną zmianę kierunku robotniczych walk w Polsce. Na tym polegała fundamentalna różnica między Grudniem '70 i Sierpnem '80. Poprzednio z żądaniami

zwracano się do władz, teraz protestujący zdawali się tylko na własne siły. Dziesięć lat wcześniej, powołany niedawno na I sekretarza PZPR, Edward Gierek spotkał się ze stoczniovcami i poprosił ich o wsparcie w budowaniu „drugiej Polski” (kiedy zapytał: „Pomożecie?”, odpowiedzieli: „Pomożemy”). „Jesteśmy inni, przede wszystkim dlatego, że będąc razem, przestaliśmy być bezsilni. Jesteśmy inni, bo przez ostatnie 30 lat nauczono nas, że obietnic się nie dotrzymuje. Jesteśmy inni, gdyż zrozumieliśmy, że mówiąc o uzdrawianiu gospodarki, myśli się o tym, jak nas oszukać”³. Najważniejszym rezultatem tej zmiany postaw była forma walki. W grudniu 1970 roku robotnicy wyszli z protestem na ulicę, spalili gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Brutalnie zaatakowała milicja, byli zabici i ranni. Od jednego z robotników, który był świadkiem tamtych wydarzeń, usłyszałem: „To była straszna tragedia, ale wynieśliśmy z niej lekcję. My się stąd nie ruszymy, to oni mają przyjść do nas. Nie mogą zabić nas wszystkich, prędzej czy później muszą zacząć z nami rozmawiać”. Utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS) i sformułowano listę żądań, które miały być przedstawione władzom.

Od poniedziałku 18 sierpnia wszystkie stocznie na Wybrzeżu, od Gdyni po Szczecin, były już okupowane przez strajkujących robotników. Do protestów dołączyły załogi innych zakładów z regionu. Tymczasem ferment ogarniał cały kraj. Pod koniec sierpnia istniało już kilka MKS-ów. Obok gdańskiego, reprezentującego ponad pięćset zakładów, powstały też m.in. w Szczecinie (dwieście podmiotów), we Wrocławiu i w Jastrzębiu, w którym zrzeszyły się kopalnie i huty ze Śląska, najbardziej uprzemysłowionego regionu

³ Nawiązanie do wydarzeń z 1970 roku znajduje się w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność” nr 6 z 27 sierpnia 1980.

w kraju. Wszyscy oglądali się na Stocznę Gdańską, kolebkę buntu i ognisko robotniczego ruchu oporu. U stóp niebosiężnych dźwigów chylących się nad wodami zatoki, wzdłuż niskich ceglanych budynków mieszczących rozmaite oddziały, tysiące ludzi trwały w oczekiwaniu. Czekały, aż zjawi się ktoś z rządu, ale nie okazywały zniecierpliwienia, przeżywając te dni z ogromnym spokojem wewnętrznym. Jedni grali w karty, inni pisali wiersze. Przyglądałem się im: mieli dumne i pełne powagi spojrzenia ludzi, którzy walczą o chleb i o wolność, nie ulegając przemocy czy porywom gniewu. Biła z nich determinacja i godność. Szykowali prawdziwą rewolucję robotniczą przeciwko władzy zasadzającej się na robotniczo-rewolucyjnej ideologii. Podobnie jak wielu moich kolegów po fachu z różnych zakątków świata, spędzałem na terenie stoczni całe dnie, rozmawiając z bohaterami spektaklu, który budził zdumienie nawet najstarszych cyników. Dla mnie był to chrzest bojowy, robiłem swój pierwszy reportaż i miałem wrażenie, że sięgnąłem nieba. Wypełniało mnie wzruszenie, a mój notatnik zapisany był informacjami przekraczającymi wszelkie wyobrażenia. Codziennie o piątej po południu odbywała się modlitwa. Na obszernym placu na terenie stoczni ustawiano krzesła dla wiernych. W niedzielę rano odprawiano mszę. Ołtarz postawiono na ciężarówce, dzięki czemu w nabożeństwie mogli uczestniczyć wszyscy, nie tylko zgromadzeni przed stoczną i w przylegających do niej szerokich alejach robotnicy, ale też ludność znajdująca się przy bramie wejściowej. Tysiące niebieskich kombinezonów na klęczkach, na tle dźwigów i wózków widłowych, pokazane na ekranach telewizorów na całym świecie były przejmującym świadectwem wiary narodu. Polski Sierpień był traumą czerwonych dyktatur Wschodu i lewicowych teoretyków Zachodu. We Włoszech na łamach komunistycznego „Il Manifesto” przyznano nawet, że „dla polskich

robotników walka i modlitwa oznaczają to samo”. Za nimi stał cały naród, młodzież, rodziny z dziećmi, a nawet wielu członków partii. Przed bramą numer 2 tłum z każdą chwilą gęstniał. Wszyscy chcieli być na bieżąco, ale Komitet Strajkowy nie miał odpowiednich kanałów informacyjnych, poza Strajkowym Biuletynem Informacyjnym „Solidarność”, który ukazywał się od 23 sierpnia. Drukowała go Wolna Drukarnia Stoczni Gdańskiej w bardzo niskim nakładzie i w kiepskiej jakości. Każdego ranka rozgrywała się więc ta sama emocjonująca scena: ludzie gorączkowo szukali rozrzuconych ulotek, przekazywali je sobie z rąk do rąk i połykali wzrokiem. To jedyna informacja alternatywna wobec propagandowych mediów, które, choć w końcu zaczynały otwarcie mówić o „strajkach”, to określały je jako wywrotowe i antysocjalistyczne. Wydawało się, że Gdańsk i Warszawę – serce rewolucji i ośrodek władzy – dzieli przepaść. Rząd zadeklarował gotowość do pertraktacji z pojedynczymi zakładami, ale bez pośrednictwa MKS-u. Negocjacje trójstronne między oficjalnymi związkami zawodowymi, dyrekcją zakładów i komórką partyjną już w pierwszej fazie rozmów zakończyły się fiaskiem. Środowiska rządzące w końcu doszły do wniosku, że skoro negocjacje muszą się odbyć, trzeba przeprowadzić je bezpośrednio ze strajkującymi. 23 sierpnia, o ósmej wieczorem, kiedy zaczynało się ściemniać, na ulicę prowadzącą do stoczni wjechał autokar, torując sobie drogę w tłumie. Ktoś zawołał: „Są! To oni!”. „Oni”, czyli komuniści, przywódcy partyjni⁴. Za szybami było widać ich ponure twarze. Przekroczyli magiczną gra-

⁴ Tego zaimka Polacy zwyczajowo używali wobec rządzących dla podkreślenia swojej odrębności. *Oni* to również tytuł zbioru wywiadów Teresy Torańskiej z decydentami, wydanego w drugim obiegu w Warszawie w 1985 roku, pokazującego, jak dalece mentalność komunistycznych przywódców odbiega od mentalności zwykłych ludzi.

nicę, by dostać się do serca „kontrewolucji” (reżimowa prasa tak określała nadbałtyckie akcje strajkowe). To delegacja rządu z Warszawy. Na jej czele stał wicepremier Mieczysław Jagielski ubrany w szary, idealnie skrojony garnitur i partyjny krawat. Przywitał go Lech Wałęsa, który miał na sobie wymiętą marynarkę i paskudną koszulę w kratę. Dwa odległe i wzajemnie wrogie światy stanęły obok siebie. W dużej sali konferencyjnej na swoich rozmówców czekało sześciuset przedstawicieli MKS-u. Delegacja rządowa zajęła miejsce na podium, między krzyżem, który kilka dni wcześniej został powieszony na ścianie, i wielkim pomnikiem Lenina wykonanym z białego marmuru – dosadnym symbolem, który już sam w sobie podkreślał dramatyzm tego spotkania. Rozmowy trwały cztery godziny, a dzięki głośnikom wszyscy mogli śledzić ich przebieg. Jagielski często zdradzał zakłopotanie. Kiedy jeden z robotników zamachał mu przed nosem „Trybuną Ludu” – oficjalnym partyjnym medium – prosząc o wyjaśnienia kłamstw, które wypisuje na temat strajkujących, ten mruknął pod nosem, że jeszcze nie zdążył przeczytać. MKS zażądał, między innymi, odblokowania łączności telefonicznej między Gdańskiem a resztą kraju, ale władze tłumaczyły, że do awarii linii doszło w wyniku gwałtownych burz, co wywołało tylko ogólne rozbawienie.

Ale ze strony strajkujących padło też istotne stwierdzenie, że obowiązująca ustawa o związkach zawodowych musi zostać zmieniona. Niezależnie od wyniku, ważne było to, że władza zaczęła rozmawiać z uczestnikami strajku. Pierwsze efekty widać było już następnego dnia po spotkaniu. KC PZPR odwołał premiera Edwarda Babiucha i wielu członków rządu, w tym prezesa Radiokomiteu Macieja Szczepańskiego. Od tej pory Dziennik Telewizyjny był już trochę ciekawszy, bo choć nadal wybiórczo, to jednak zaczął podawać informacje o wydarzeniach w gdańskiej stoczni.

Tymczasem strajkujący przedstawili władzy ostatecznie sformułowaną listę dwudziestu jeden postulatów. Na pierwszym miejscu widniała „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych, wynikająca z ratyfikowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej wolności związkowej”.

Przy MKS-ie powstała Komisja Ekspertów złożona z intelektualistów, którzy pragnęli nie tylko wspierać robotniczą walkę, ale też włączyć się w nią osobiście. Obie grupy wyznaczyły w ten sposób kres wzajemnej obojętności, charakterystycznej dla stosunków między inteligencją i klasą robotniczą w minionym okresie. W roku 1968, kiedy wybuchły protesty na uczelniach, robotnicy nawet nie kiwnęli palcem. Dwa lata później, w grudniu 1970 roku, po brutalnych represjach zastosowanych na uczestnikach rozruchów w Gdańsku, inteligencja milczała. Teraz wielu przedstawicieli środowisk naukowych bez wahania udało się ku stoczni, oddając się do dyspozycji strajkujących. Byli wśród nich: historyk o międzynarodowej renomie Bronisław Geremek, prawnik zajmujący się sprawami ekonomicznymi Andrzej Wielowieyski, polonista i historyk Bohdan Cywiński, twórca Uniwersytetu Łatającego – tajnych kursów mających być alternatywą dla oficjalnej edukacji propagandowej. Na czele Komisji Ekspertów stanął Tadeusz Mazowiecki, publicysta i wiceprezes warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Poznałem go pewnego ranka podczas mszy na terenie stoczni. „Wy, dziennikarze zachodni, pewnie nigdy wcześniej nie widzieliście czegoś podobnego”. Wypowiedziane po niemiecku zdanie skierował do mnie mężczyzna około pięćdziesiątki, szczupły i z zakolami na czole, ze wzrokiem wbitym w klęczący przed ołtarzem polowym szpaler niebieskich kombinizonów. Przedstawił mi się jako kolega po fachu. Pracował

w redakcji katolickiego miesięcznika „Więź” w Warszawie. Później zorientowałem się, że miałem do czynienia z wybitnym polskim intelektualistą i że to jego Wałęsa poprosił o pokierowanie Komisją Ekspertów przy MKS-ie. „Jak długo, wy, inteligenci, zamierzacie zostać z nami?”, zapytał go Wałęsa z właściwą sobie bezceremonialnością. Mazowiecki bez namysłu odparł: „Do samego końca!”. W kolejnych dniach miałem okazję widywać się i prowadzić długie rozmowy z nim i innymi doradcami przywódcy strajków. Nocowali w domu zakonnym pallotynów, usytuowanym nieopodal gdańskiego Dworca Głównego (ja też tam byłem zakwaterowany, bo będąc w Polsce ze zwykłą wizą turystyczną, wolałem omijać hotele). Dopisało mi szczęście. Podczas wielogodzinnych rozmów przy stole, gdzie wspólnie jedliśmy kolację, coś z tej Polski zaczynałem rozumieć. Niespodziewanie znalazłem się na spotkaniu, które przypominało tajny sobór duchownych i intelektualistów. Przywodzili mi na myśl karbonariuszy, organizujących osobliwy ruch rewolucyjny. Ich zdumienie było jednak dużo większe niż moje. Jako myśliciele, katolicy czy związane z Kościołem osoby świeckie, sprawę narodową uważali za własną. Ale potrzebny był im ruch robotniczy, by wartości religijne i patriotyczne mogły stać się konkretnym doświadczeniem i całemu narodowi dać nadzieję na zmiany. Trzeba było także wielkiej osobowości o światowym autorytecie, jaką był papież Polak, który to doświadczenie i tę nadzieję umocnił. „Ja jestem z wami”, mówił Jan Paweł II w swoim przesłaniu. Telegram ze stolicy apostolskiej podczas niedzielnej mszy 24 sierpnia odczytał prałat Henryk Janowski, kapelan stoczniowców:

Piszę tych kilka słów, aby zapewnić Waszą Eminencję, że w ciągu ostatnich trudnych dni jestem szczególnie blisko: modlitwą

i sercem uczestniczę w tych doświadczeniach, przez jakie przechodzi – raz jeszcze – moja Ojczyzna i moi rodacy. Wiadomości na te tematy nie schodzą z pierwszych stron prasy i z programów telewizji i radia. Modłę się, aby Episkopat Polski ze swym Prymasem na czele, zapatrzony w Tę, która dana jest ku obronie naszego Narodu, mógł również i tym razem dopomóc temu Narodowi – w ciężkim zmaganiu się o chleb powszedni, o sprawiedliwość społeczną i zabezpieczenie jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju. Proszę przyjąć tych kilka zdań poddyktowanych potrzebą wewnętrzną. Jestem z Wami u stóp Jasnogórskiej Pani przez troskę, modlitwę i błogosławieństwo.

Strajkujących stoczniowców słowa te, będące dowodem solidarności papieża i jego głębokiego zaangażowania, bardzo poruszyły. Z dumą powtarzali: „Nie jesteśmy sami, jest nad nami wielka siła, która nas chroni”. Przesłanie Jana Pawła II miało szczególną wymowę, zwłaszcza porównane z wypowiedziami Episkopatu Polski. 26 sierpnia, w homilii wygłoszonej w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński wezwał wiernych, by walczyli o swoje prawa odpowiedzialnie i roztropnie. Apel ten reżimowa władza natychmiast próbowała wykorzystać. Słowa prymasa zacytowano w Dzienniku Telewizyjnym, a następnego dnia wydrukowała je „Trybuna Ludu”. W komunistycznej Polsce była to rzecz niespotykana. Tekst prewencyjnie oczyszczono z passusów, które mogłyby być odebrane jako krytyka polityki władz. W odpowiedzi Biuro Prasowe Konferencji Episkopatu wydało oficjalny komunikat, w którym Kościół precyzował swoje stanowisko i podkreślał niezbywalne prawa ludzi pracy. Tak czy inaczej, pozostało wrażenie, że hierarchowie kościelni obawiają się dramatycznego zwrotu (prymas w homilii ostrzegał

przed „katastrofą Ojczyzny”) i proszą naród o umiar i rozwagę, podczas gdy głowa Kościoła, papież Polak, w jednoznaczny i namacalny sposób opowiada się po stronie walczących robotników. Wobec strajku Kościół i naród polski manifestowali głębokie porozumienie, jednak między Episkopatem Polski a Janem Pawłem II istniała pewna rozbieżność sądów. Rozbieżność, która w przebiegu całego dziesięciolecia coraz bardziej się zaostrzała.

Podbudowani słowami papieża robotnicy w żadnym razie nie zamierzali się wycofać. Pertraktacje z delegatami rządu przebiegały opornie. Jagielski wielokrotnie groził zerwaniem rozmów i powrotem do Warszawy, Komitet Strajkowy podnosił głos, więc Wałęsa, by nie dopuścić do zaognienia sytuacji, musiał uciec się do swoich zdolności retorycznych i negocjacyjnych. Każdego ranka, po zebraniu prezydium MKS-u, szedł pod bramę numer 2, by rozmawiać z zebranymi. Początkowo za podium wystarczała mu jedna skrzynka, dzięki której widać go było zza ogrodzenia. Ale każdego dnia ludzi przybywało i w końcu przywódca wspinał się na ciężarówkę zaparkowaną przed wejściem do stoczni. Leszek (zwracano się do niego zdrobniale) przemawiał długo, przekazywał bieżące informacje, wzywał do cierpliwości i zaciśnięcia zębów. „Rząd mówi, że sytuacja idzie w złym kierunku. To nieprawda, ja wam mówię, że sytuacja jest bardzo dobra! Damy radę!”. Wybuchła gromka owacja. Zebrani zaśpiewali *Sto lat*, a gdy dwaj barczyści koledzy triumfalnie nieśli Wałęsę na rękach, wszyscy do niego machali. Panowała atmosfera niesłychanej swobody, kontrastująca z posępnym klimatem wydarzeń na zewnątrz. Komunikat sowieckiej agencji prasowej TASS, która ogłosiła „kontrewolucję podżeganą przez Zachód”, wystarczył, żeby świat zadrsał. Środki masowego przekazu wieszczły zbrojną interwencję ZSRR. My, dziennikarze, ciągle o tym



Lech Wałęsa przy wyjściu ze Stoczni Gdańskiej (przywódca związków wrócił do pracy po zdelegalizowaniu Solidarności w 1983 r.)

dyskutowaliśmy. To był najpopularniejszy temat naszych długich rozmów przy stolikach w hotelu Hevelius, koszmarnym wieżowcu, który wyrasta nieopodal stoczni, a w tamtym okresie gościł ekipę objazdową międzynarodowych mediów. W miejscowej restauracji karta dań była raczej skromna, ale za to każdy z nas miał swój plan awaryjny na wypadek najazdu sowieckich czołgów: jedni codziennie wstawali o świcie, żeby kontrolować sytuację, inni mieli w odwodzie mieszkanie-kryjówkę, byli też tacy, którzy planowali wciągnąć na siebie niebieski roboczy kombinizon i dać się zaaresztować. Niektórzy mówili, że widzieli czołgi z czerwoną gwiazdą. Nie w Gdańsku, ale w Krakowie, gdzie toczyły się z łoskotem przez ciasne uliczki Starego Miasta, by zająć rynek. Mieszkańcy na ich widok drętwieli z przerażenia. Nie była to ani halucynacja, ani rzeczywistość, tylko plan filmu o życiu

Karola Wojtyły, *Z dalekiego kraju*, w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. Scena z udziałem wjeżdżających czołgów pokazuje wkroczenie Armii Czerwonej do Polski w 1945 roku. Tyle że owdładnięte obsesją tajności władze nie ostrzegły mieszkańców i nim nieporozumienie zostało wyjaśnione, Kraków przeżył chwile grozy.

W nadbałtyckich stocznich nic takiego nie miało miejsca. Dominowało tam spokojne trwanie robotników. Zapytałem Wałęsę, czy nie boi się radzieckiej interwencji. „Boję się tylko Boga”, odparł chłodno. Później, siedząc na małym i wytartym tapicerowanym tapczanie, na którym spędzał większość bezsennych nocy, tłumaczył toczące się wokół wydarzenia: „Polityka nie ma tu nic do rzeczy, chcemy tylko normalnie żyć, chcemy, żeby Polacy rozwiązywali swoje problemy dzięki wspólnemu działaniu z rodakami, a nie jeden przeciwko drugiemu. Nie rządzi nami pragnienie zemsty ani chęć przejęcia władzy. Chcemy tylko mieć związki zawodowe, które nas będą reprezentować. Z bożą pomocą damy radę”.

Nie był to wyraz ideologii, lecz postawa człowieka, który próbował wytrącić broń z ręki przeciwnika. Wśród zebranych przez Solidarność wierszy znajduje się poetycki apel do rządzących i partyjnej nomenklatury: „Przestańcie wmawiać nam głupotę / Anarchię i brak doświadczenia / Zamiast kłajstrować gdzie popadnie / Od siebie zacznijcie zmieniać / Przestańcie ludzi oszukiwać / Zamykać oczy, chować głowy / Zamieniać godność i kulturę / W olbrzymi sklep monopolowy / Przestańcie dzielić nas i skłócać / Rozdzielać punkty, przywileje / Przemilczać niewygodne fakty / Fałszować historyczne dzieje⁵”.

⁵ Wiersz zatytułowany *Postulat 22* opublikowano w zbiorze *Przestańcie stale nas przepraszać... Wiersze*. Solidarność 1980, s. 12, zawierającym anonimowe

Sprostanie temu wyzwaniu wymagało radykalnej zmiany świadomości. Dokładnych wyjaśnień udzielił mi Bohdan Cywiński, jeden z intelektualistów wchodzących w skład wspierającego strajk zespołu ekspertów: „Widzi pan – powiedział mi ten korpu-lentny humanista, który od razu wzbudził moją sympatię – ma tu miejsce niespotykana forma rewolucji. Nie ma w niej gniewu ani przemocy. Niezgoda na niesprawiedliwość zmusiła nas przede wszystkim do zmiany samych siebie, a jeśli spojrzeć na to głębiej, również do pokonania naszych lęków i egoizmu. Wyzwoliliśmy się wewnętrznie i dzięki temu potrafimy być solidarni, odpowiedzialni i publicznie odważni”.

Władze nie wiedziały, co robić, więc grały na zwłokę. Doszło do niespotykanej zmiany konfiguracji. Na początku robotniczego zrywu prasa i telewizja na Wybrzeżu nie wahały się przed głosze-niem opinii, że ten strajk jest niedopuszczalny i jak najszybciej należy go zakończyć. Ale kiedy rząd zgodził się na rozmowy, nie było już odwrotu. Rzecz jasna, żądania ekonomiczne nie stano-wiły istoty problemu, tym bardziej, że robotnicy zgodzili się na odstąpienie od niektórych postulatów. Ale pomysł przekształcenia MKS-ów w wolne związki zawodowe dla zatwardziałyłch komu-nistów brzmiał jak karygodna prowokacja. „To tak, jak zgodzić się na ciągłą rewolucję”, syczał jeden z członków rządowej delega-cji. Trudno zaprzeczyć, że byłby to koniec hegemonii partii w ży-ciu publicznym, przełamanie dogmatu stanowiącego fundament socjalistycznego ustroju. „Zdajecie sobie sprawę, że chcecie zbu-rzyć mur, którego dotąd nikt nawet nie naruszył?”, pytam grupkę robotników. „Ktoś wreszcie musi spróbować”, odpowiedzieli ze

utwory poetyckie kolportowane w czasie strajku w 1980 roku w Gdańsku i Gdyni (przyp. tłum.).

stoickim spokojem. Piątek 29 sierpnia był dniem najczarniejszego pesymizmu. Jagielski oświadczył, że kontynuowanie rozmów nie ma sensu. Wałęsa postawił więc ultimatum: „Albo uznanie nasze prawo do wolnych związków, albo w najbliższy poniedziałek wybuchnie strajk generalny”. Rząd musiał dać za wygraną. Rankiem, w sobotę 30 sierpnia, blady jak kreda Jagielski oznajmił, że jest gotów podpisać porozumienie. W sali konferencyjnej zapanało ogromne podniecenie. Członkowie prezydium MKS-u zaczęli dopracowywać szczegóły projektu porozumienia. Toczyły się ożywione dyskusje, niektórzy buntowali się przeciwko Protokołowi, w którym zapisano, że nowy związek zawodowy uznaje PZPR za ciało kierujące polityką państwa. Na Wałęsę spadło zadanie przekonania najzagorzalszych sceptyków, że klauzula ta (wprowadzona przez rząd, który potrzebował jakiegokolwiek gwarancji dla bezpieczeństwa socjalistycznego do przedstawienia moskiewskim decydom) nie stoi na przeszkodzie wolności związkowych działań. Porozumienia zostały podpisane następnego dnia, w niedzielę 31 sierpnia. Wszyscy odczuli niesamowitą satysfakcję. Od wczesnych godzin rannych tłum oblegał bramę stoczni, wymachując flagami i rzucając kwiaty. Wyglądał jak potężna balustrada, przez osiemnaście dni strajku odgradzająca jego bohaterów od narodu. Ich twarze wyrażały silne emocje. Wiedzieli, że osiągnęli swój cel. Ściągnęli kombinezony robocze i włożyli odświętne ubrania. Pod szyldem „Stocznia Gdańska im. Lenina” zawisł transparent z przewrotną wersją słynnego hasła z *Manifestu komunistycznego* Karola Marksa: „Proletariusze wszystkich zakładów, łączcie się!”. Po mszy rozpoczęło się spotkanie z delegacją rządową. Tekst porozumień był gotowy, ale komitet strajkowy postawił jeszcze jeden warunek. Zażądano uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, łącznie z aresztowanymi w ostatnich



Gdańsk, listopad 1980 r. Lech Wałęsa wyraźnie usatysfakcjonowany po zalegalizowaniu NSZZ Solidarność. Na zdjęciu z autorem

dniach. Jagielski wpadł w popłoch, bo nie mógł dać takiej gwarancji bez przyzwolenia głowy państwa. „Dobra, niech pan wraca do Warszawy. My tu poczekamy”, odparł niewzruszony Wałęsa. Jagielski pokornie udał się do stolicy, gdzie uzyskał ostateczne placet partyjnych oficjeli i pięć godzin później ponownie zjawił się w Gdańsku, bijąc chyba rekord szybkości. Cały opór władz został złamany. W sali konferencyjnej jeden z członków MKS-u odczytał 21 postulatów. Na każdy z nich Jagielski odpowiadał: „Tak, podpisuję”. Kolej na Wałęsę, który z nieodłącznym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w klapie marynarki pozował do zdjęć fotografom i reporterom telewizyjnym. Podpis złożył ogromnym długopisem z widocznym portretem Jana Pawła II, wielkiego duchowego protektora suwerennych polskich związków zawodowych. Frenetyczne owacje nie miały końca, kłaskał nawet Jagielski i inni członkowie delegacji.

Porozumienie podpisane w Stoczni Gdańskiej było mniej więcej zbieżne z tym, które dzień wcześniej podpisano w stoczni w Szczecinie. W środę 3 września kolejne porozumienia były zawierane w Jastrzębiu przez przedstawicieli śląskich górników i hutników⁶. „Wszystko poszło jak trzeba. Bez żadnej siły i przemocy. Dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem. Wygrał zdrowy rozsądek, wygrał dialog. A teraz wracamy do ciężkiej pracy”, powiedział Wałęsa, ogłaszając koniec strajku. W podobnym tonie wypowiadał się Jagielski: „Nie ma tu ani zwycięzców, ani zwyciężonych”. Dobrze, że obie strony oceniały wydarzenia w podobny sposób. Mur, który

⁶ 17 września wszystkie komitety uformowały ogólnonarodową federację, która przyjęła nazwę „Solidarność”. Organizacja posługiwała się biało-czerwonym emblematem (polskie barwy narodowe). Dopiero 10 listopada 1980 roku, po długiej batalii z rządem, wolne związki zawodowe zostały zalegalizowane przez Sąd Najwyższy.

wydawał się nienaruszalny, pękł. Po raz pierwszy w kraju bloku sowieckiego doszło do narodzin niezależnego związku zawodowego, który miał bronić pracowników przed władzą odwiecznie mieniącą się jedynym przedstawicielem klasy robotniczej. Tego lata w Polsce wydarzył się cud.

MUR KOMUNIZMU KRUSZAŁ POWOLI, ALE ZNIKNĄŁ W CIĄGU JEDNEJ NOCY

Była kiedyś Europa Wschodnia. Świat, który w naszej wyobraźni zniknął w ciągu jednej listopadowej nocy, wraz z upadkiem Muru Berlińskiego. Zapadł się jak mityczna Atlantyda. W rzeczywistości było inaczej. Komunizm kruszył się jak mur, nadgryzany przez całe lata. Upadał powoli dzięki wielkiemu poświęceniu i ogromnej pracy tych wszystkich, którzy zdecydowali się mu przeciwstawić. To książka o nas samych, o milionach zwykłych ludzi, którzy musieli wtedy żyć i dzięki którym świat wygląda dzisiaj inaczej niż wówczas.

Czerwona Atlantyda to wielka panorama tamtego świata: od Gdańska, przez Warszawę, aż do Moskwy, od Pragi do Wilna, od Berlina do Bukaresztu. Autor pokazuje nam go przez wielkie zdarzenia i małe, codzienne rzeczy. Spotykamy w niej ludzi ważnych – Jana Pawła II, Lecha Wałęsę i Václava Havla, a także tych z pozoru zwyczajnych, anonimowych bohaterów przedostatniej dekady XX wieku. Dekady burzliwej, niejednoznacznej, pełnej cieni i półprawd.

Luigi Geninazzi

– włoski dziennikarz i publicysta, ekspert ds. polityki międzynarodowej.

Był specjalnym korespondentem, relacjonującym przez ponad 30 lat wydarzenia w Polsce i w całej Europie Wschodniej.

Za swoje artykuły na temat Solidarności otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-240-3021-7



9 788324 030217 >

znak.com.pl

KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na

woblink.com

